

Jerzy Geniusz

**Na początku
było tylko
słowo...**

Tłumaczył
Jan Leończuk

Białystok

1981 r.

NA POCZĄTKU BYŁO TYLKO SŁOWO...

Redaktor
Sokrat Janowicz

Bójcie się słowa. Drzyjcie przed nim. Śmierć waszych złud — niegodni i złoczyńcy. I choć mijają setki lat lub tygodnie tylko przemijają, bić ono będzie do zamkniętych wrót — przeniknie wszak.

Bójcie się Słowa!

I nie zaznacie spokoju, wam zmiłowania nie będzie. I nie ma snu — i rozpacz ukryta w tańcu na piersiach zmorą osiadzie.

Bójcie się Słowa!

Cóż z tego, że wasze prawo, ono wszak wyroki swoje wypowie, kiedy w pałacach waszych sądzą Judasza synowie — za srebro narodowi wyrwane.

Bójcie się Słowa!

O rodzie Judaszowy! Módl się, płacz lub umieraj — dłonie ci lizać psa skowytaniem — cień twój cieniem przekłętej osiki zostanie, cień związanych pętlą rąk.

Bójcie się Słowa!

Nie spętasz na niebie skowronka. Spróbujcie raz jeszcze rozstrzelać marzenia, a kiedy naprzeciw spłyną słowa ognistą lawą, kiedy ich echem ziemia znów się odzywa, pól i lasów wrzawa, kiedy żołnierz gotowy pojednać się z trawą — wybaczcie czołgom nieokiełzanych spraw.

Bójcie się Słowa!

Oto garść słów skrzydlatych sfrunęła ku słońcu. Z klatki dłoń czyjaś znów wyjęła słowa. Nie trzeba karmy aby żyły, mężniały w przestrzeniach, za wiosną tęskniły — piskłeta w orły się zmieniły, jak kamienie spadając ku ziemi dążyły, by oto wzbić się w chmury z gniazd całego świata.

A w szumie takim, uwierzcie słowom brata, przeciągły świst rakiety jest wróblom na igranie. Jak ująć przy tym złudę w to spieszne przywołanie?

Bójcie się Słowa! I ukryć się nie możesz, ani stawić czoła — co przeciwstawić żądłom bezlitosnym — ogień się nie ima ni miecz. Gdzie wam skłonić głowę? I nie ma ucieczek, wszystko zmieni się wniwecz. I nie ma takich dali, i nie pomoże ściana z kutej stali — bo słowo, dajcie mi wiarę, samo stal hartuje. Ze stali zrodzone potrafi zadać śmierć.

I dlatego oznajmiam wam — bójcie się Słowa!

TURBAN OMAR-CHAJAMA

Witaj mój bracie. Milczą już drogi do ciebie. Choć kilka zdań wyprawiłbyś w drogę. Turban Omar-Chajama lnianą białą rozsypał się w ścieżkę, i ściele się w dal — niby kępą brzołek w jeden gaj nas wiąże.

I nie miej za złe, że czasami ktoś brudnym buciorem biel jego zbeszcześci.

I nie zbrukasz tej bieli w błocie, zły człowieku. W deszcz namoknie, w słońcu przejaśnieje — aby pętla chciwą u stóp złoczyńcy legnąć. To znów wystrzeli marzeniami w przestrzenie świetliste. Z zachłanności syberyjskiej nadzieją pobieży, by rodzoną chatę przygarnąć mgły tumanami. By chłopcom na obczyźnie posłużyć ręcznikiem — i kiedy wody z Niemna zabraknie — wybielą go łzami.

A stary Chajam wrasta z niepokrytą głową. Wieki już trwa ten straszny Ramadan. I w słońcu schnie. Ledwie w poście trwają. A ciemność żre, pęcznieje — w szaleństwie umierają — i dzień do swego" wnętrza zachłannie wchłaniają. Noc jest coraz dłuższa...

O mójże Saki! Ty wszelkie prawa znasz. Allah jest jeden. I palec jest jeden Proroka, jak miecz wiszący nad ziemią. I włos nam z brody nie wyrwą bez jego woli.

Plwaj więc na Szariat — wina unieś dżban.

Uwierzysz — i ci uwierzą, których spowił biały turban, że swój kielich spełnisz, aż do dna — nawet gdyby w pucharze krew była nad ranem.

By odważnie unieść powiekę — wypijmy do dna.

JANCZARZY

Jęczało ostrze na ostrzu. Żelazo w żelazo się wpija. Spragnione gorącej krwi, jak chłopiec dziewczęcych ust.

Ciemność draży już ciało, szukając do serca ścieżyny. Rdza skrępelem czerwieni zgorzkniała, jak chłopiec w objęciach dziewczyny.

Ostrze na ostrzu się wspiera. Strach śmierci w janczarach zamiera. Napiera już ława piechoty. W jeden napręża się łuk. I spod ostrych szyszaków spogląda jedno oko. Tysiąc szabel tnie imię Proroka. I nie ma odwrotu. Dzika rozkosz, niczym pieszczoty spragnionych rąk.

Błękitnoocy, jasnowłosi, chrześcijanom skradzeni synowie. Półksiężycem wyhodowani — w stronę Kaaby oddają pokłony. Zostali już murem islamu, jego ramieniem i okiem. Gotowi na chwałę Proroka dusić braci i sióstr.

Jedyną ma janczar nagrodę. Jedyną ma w życiu drogę. Na bitwę iść jak na święto. Śmierć przyjąć z ręki brata po krwi, przekłętą.

I uwierzyć musi, że błędnego syna utuli po śmierci ojczyzny kruszyzna. Bo zdrady nawet ślepego kreta, nie dopuszczają do bram rajy Małometa.

AFRYKA

Czemuż ja czarny, czemuż ja czarny, mam — choć białą noszę twarz? Czemu mi wiatr — w oczy wciąż dmie?

Afryka dookoła, Afryki stukot bębnow. Na próżno w piasek chowasz głowę — ofiarą nie przeblasz bogów.

Tum-da-ta, tum-da-ta, tum-da-ta-tam. Kto czarny, ten kark swój wbrew woli gnie. Dżungla dokoła jak w przerażającym śnie; jęcza, rechocza, błyskają kłami — chwytaj co żywe, żeby przy kotle stanąć, za gardło duszy — zachłysnąć się krwią.

O-o-o! Czemuż ja czarny, czemuż ja czarny, mam — choć białą noszę twarz?

Uszy rosą dokoła — to tu, to tam. Nikt znikąd nie zadmie, każdy oddech zapadnie, i dokładnie prześledzi, i za tobą wciąż pędzi, i gromadząc, coraz szybciej się zbliża, i na nitkę naniza, pajęczynę rozwieszoną dokoła — czy to warczą tam — tamy, czy to dusza skowycze, czy to żmije mlaskają jadem?

O-o-o! Czemuż ja czarny, czemuż ja czarny, mam, choć białą noszę twarz?

I lwy i słonie — spójrz — są wolni, bez krat. Bawół z błota głowę unosi, nosorożec pękaty opala się w trawie, rdzawą plamą przemknął się lampart, zebra z antylopa... I orły swobodą pod niebem kołują — i wkoło wolność, i nie ma krat. Nie krzykniesz im, że tu — rezerwat...

I jeno hieny chichoczą. I tylko szakale się śmieją.

O-o-o! Mam!

WSPOMNIJ

Zdarza się czasami pod jesień —
powtórnie zakwita bez.... Dlaczego
tak się dzieje — spróbuj odgadnąć.

Znasz radość nagłą, gdy pękają
supły gordyjskiego węzła — i powia-
dasz: nic w tym dziwnego, choć cięż-
ki zawisł listopad...

I śmieci, dziecka w gwiazdziste
niebo, i wonna rosa osiadająca na
gruzowisku — i radosny świat obu-
dzony dzwoneczkami...

Ptakom zwrócono głos, w ser-
cach zatlił się ogień, maj się rozście-
lił po ziemi, zawirowała gwałtownie
krew, w oczach młodzieńczy błysk,
połączyły się pięści — lżej już iść,
właściwie, donikąd — a żyć jednak
warto.

Kiedy się zdaje, że wszystko ma
swoją kres, choć w butach, to ślad
bosy znaczy drogę krwią. Niebo
bielmem mgły zaszło, płoną spieczo-
ne wargi, kark zgięty jesienną dużą
opływa potem, i zanika twój ślad, a
przed tobą piachem zasypyany szlak
— to chciałbyś już na wieki usnąć
swoje oczy. Wspomnij wtedy dziwny
czas kwitnienia bzów...

Kiedy ci kark ugną ciężarem po-
nad ludzkie siły, nie ciało już a onu-
ca oddech twój stłumiła, spętała
ręce, uśmierciła drętwością piersi. I
ciało twe zbutwiało, pleśń pokryła
ból, śmiech jeszcze słyszysz swego
wroga, dźwięczy srebrnikami przyja-
ciel, bagna gnój dokoła i pomocy
znikąd a tylko czas się znęca —
przypomnij wtedy, jak to w życiu
bywa, kiedyś przecież zakwitnie
bez...

I głowę raz jeszcze unieś, idź da-
lej — wszak żyć trzeba!

СПАЧАТКУ БЫЛО ТОЛЬКІ СЛОВА...

Бойцеся Слова! Прад ім
трапячыце. У ім Ваша смерць,
нягоднікі ды зьбыдні. І малаважныя
сотні лет ці тыдні: боць яно будзе ў
зачыненыя дзверы ... Усё ж
пранікне.

Бойцеся Слова

Ратунку Вам не будзе, як няма
спакою. Як сну няма; як распач,
прыхаваная гульбою, зморай
душыць.

Бойцеся Слова!

І што з таго, што Вашыя
прысуды, паводле Вашых жа
правоў, у харомах Вашых,
выносяць нам патомкі Юды, за
вырванае Вамі ж народу серабро?

Бойцеся Слова!

О родзе Юдзін! Маліся, плач,
уцякай, руку лжы з адданасцю
сабачай — цень твой усё роўна
падзе асінаю, рук пераплёт ...
пяцлёю.

Бойцеся Слова!

Не закаваць у пугы жаваранка
ў небе. Спрабуйце перад строем
мару расстраляць. Калі насустрач
пальмянай лавай льюцца словы;
калі іх рэхам адукаецца зямля, —
лясы, палі, дубровы; калі ўласны
салдат падставіць вуха ім гатовы
— пазіцыяў, даруйце, танкам не
стрымаць.

Бойцеся Слова!

Вось жменька слоў крылатых
да сонца ўзнялася. Там хтосьці з
клеткі ўзяў ды выпусціў другую. Не
трэба корму ім на тое, каб жылі:
мужнеюць у прасторы, чакаючы
вясны. Не птушаняты ўжо —
дарослыя арлы — гатовы каменем
несціся да зямлі. Вось збіліся ў
хмару з гнездаў усяго свету.

Пры гуле гэткай хмары тонкі
піск ракетаў, паверце, верабям на
смех. Ды трапіць як — у
звідліваць, у дрыжыках, наспех?

Бойцеся Слова!

І сховішчаў няма, няма і абароны. Што супрацьставіць бязлігаснаму джалу, якога не бярэць і ні агонь, ні меч? Куды Вам уцячы? Няма такіх пустэч, куды не сягнула б; няма такое далі, не заслانیцца нат сцяною з кутай сталі — бо словы, вядома ж, самыя гартуюць сталь і таму праз сталь, наўскрозь, патрапяць біць на смерць.

І таму надалей кажу Вам -
Бойцеся Слова!

ЧАЛМА А МАР ХАЙЯМА

Налей того вина, что если капнет в Нил,

То пьяным целый век пробудет крокодил.

А если выпьет лань, то станет грозным львом.

Тем львом, что а пантер и тигров устришил.

Омар Хайям

Вітай, мой дружа! Што з Табою? Чыркнуў бы да мяне пару слоў. Чалма Амар Хайяма ільнянай беллю рассыпалася ў сцежку, сцелешца дзесь ў далеч і, быццам гурт бярозаў, у адзін гай нас вяжа.

Ты не звяртай увагі, што часам хтось бруднай лапай на яе наступіць.

Не табе ўпэцаць гэткай чыстай белі, вражэ! У дажджы намокне, у сонцы праяснее. То прывіднай пятлёю перад злыднем ляжа, то светлай марай выблісне ў прасторы. З віхуры сібірскай надзеяй бяжыцьме — родную хату атуліць імглою. То ручніком паслужыць хлопцам на чужыне — няма вады з Нёману, выбяляць слязою.

Сядзіць стары Хайям, ківаючыся, з непакрытай галавою. Вякі ўжо трывае жудны Рамадан. Што ў сонцы — сохне. Ад посту гарбее. А цемра жрэць, гуляючы дурэе ды па куску ўсё болей забірае дня ў сваё горла. Ноч усёдаўжэй ...

О, мой Сакі! Ты ведаеш законы. Алах адзін! І палец Прарока, як меч узняты над усёй зямлёю. І волас з барады не ўпадзе нам з табою без яго волі. Дык плюнь на Шарыят — віном напоўні збан. І вер і ты і ўсе, хто белаі звязаны чалмою, што сваю чару споўніць трэ да дна — нават, калі б налітая была крывёю. Да дна — за светлы новы дзень.

ЯНЫЧАРЫ

Лязгаула лёза аб лёза. Жалеза жалезу насустрач. Цёплае крыві лізнула б — як хлопец дзявочых вуснаў.

Лізнўшы, усмакталася б у цела, шукаючы ў сэрца сцяжыны. Згусткамі чырвані ірдыла б — бы хлопец у абдымках дзяўчыны.

Смерць янычару не грозна. Іскрыцца лёза аб лёза. Прэць ўпярод лава пяхоты. У адзін згібаецца лук. З-пад гострых шаломаў адно быццам пучыцца вока. Тысячай шабляў тнець меч Прарока. Упярод! Назад ні кроку! Ірвуцца з дзікай ахвотай — бы ў спотыкі палкіх пяшчотаў.

Сінявокія ды бялявыя. Мацярок хрысціянскіх сыны. Паўмесяцам узгадаванія — у бок Каабы адбіваюць паклоны. Яны сцяною Ісламу. Яго плячом ды вокам. Гатовы ў хвалу Прарока душць і сясцёр і братоў.

Адна ўзнагарода за гэта. Адна янычару ёсць мэта. У бітву ісці, як на свята. Прыняць смерць - з рукі кроўнага брата. І верыць, што блуднага сына ўтуліць па сконе айчына. Бо здраднікаў, нават за гэта, не бяруць у рай Магамета.

АФРЫКА

Чаму я чорны, чаму я чорны, мамо - хоць белы маю твар? Чаму мне вецер заўсёды ў вочы дзьме?

Афрыка наўкола, Афрыка — перастук бубноў. Дарэмна хаваць галаву ў пясок — ахвярай не змякчыш багоў.

Тум-да-та, тум-да-та, тум-да-та-там. Хто чорны, той карак свой супроціў волі гне. Джунгі ж навокал, як у жудасным сне, енчаць, рагочуць, ляскаюць ікламі — дзяруць за жывое, каб быць пры катле, душаць за горла, захлынайся крывёю ...

О-о-о! Чаму я чорны, чаму я чорны, мамо - хоць белы маю твар?

Доўгае вуха ўсюды — і тут, і там. Новым адкуль не падзьме, кожны подых пачуе, і дакладна прасочыць, якім крокам хто крочыць. Усё ловіць, хапае, усё на нітку матае, павуціну наснавала ўкруг. Ці галосіць там-там, ці заенчыць душа, ці дзе слініцца ядам змяя ...

О-о-о! Чаму я чорны, чаму я чорны, мамо - хоць белы маю твар?

Ільвы і сланы, глянь, на волі — без крат. Насарог трыбушыскам прымінае траву, буйвал з балота ўзняў галаву, іржавай плямай мільгануў леопард, зебра пасецца побач з антылопай гну.

І нават арлу і таму неўздагад, што тут — рэзерват...

І толькі гіены гагочуць. І шакалы смяюцца.

О-о-о! — Мамо!

УСПОМНІ

Здараецца пад восень —
нанова зацвітае бэз. Чаму і скуль
— вазьмі ды адгадай.

Як выбух радасці ў адчай
беспрасветным — мала таго, што
маем лістапад.

Дзіцячым смехам буйна
заіскрыўся, расой духмянаю асеў
на ламаччы, званочкамі ўсё
разбудзіў наўкола. Птушкам голас
звярнуў, уваскрэсіў у сэрцах бой;
ізноў на свеце май, і вірам пайшла
кроў, у вачах бадзёры бліск,
сцяліся кулакі і лёкім здаўся шлях,
дарога ў нікуды, — хочацца жыць.

Калі здаецца, што ўсяму канец.
Ногі, хоць у ботах, ужо толькі босы
пакідаюць след і кожны крок
крывёю значаць. Неба імглою
зайшло, вусны спёкаю гараць,
карак, сагнуты дугой, восень
потам зліла ды прываліла тымбай
твой пратораны след і дарогу
ўпярод ўсю пяском замяла, і
хочацца навек заплюшчыць вочы
... Успомні: бывае вось, нанова бэз
цвіце.

Калі падняць бярэмя, здаецца,
не пад сілу. Не цела ўжо, але
ануча. Запёрла ў лёгкіх дых,
скруціла рукі, пад льжачкай
шчыміць. І ўсё ўжо прагніло, і усё
заплеснела. Смяецца вораг,
прыяцель прадаў, і багна наўкруга,
і помачы знікуль, а толькі здзек ...
Успомні: бывае вось, нанова бэз
цвіце.

І голаў падымі, і кроч далей, —
каб жыць!

SPIS RZECZY

Na początku było tylko słowo
Turban Omar-Chajama
Janczary
Afryka
Wspomnij

І спачатку было толькі слова...
Чалма Омар Хаяма
Яньчары
Афрыка
Успомні